

sia" biegła po całym miasteczku, roznosząc wieść o waleczności jej lepszej połowy.

— Ledwie poszedł, a już się odznaczył — mówiła do księdza proboszcza.

Ksiądz proboszcz przetaił okulary, czyta — i oczom swoim nie wierzy. Niema wątpliwości, ten pocziwy Jacus, który ze swoją Ksantypą nie mógł sobie poradzić, istotnie mężnie walczy.

— No, no — rzekł wkońcu — nie wiedziałem, że Jacenty taki zapalczywy.

— To dopiero początek! Zobaczysz ksiądz proboszcz, czego mój Jacus nie dokaze! — mówiła z zachwytem zająca połowica pana Jacentego.

Na drugi dzień zaprosiła pani Jacentowa wybitniejsze osobistości z jej sfery na kolację. Był więc woźny z urzędu podatkowego, miejscowy listonosz, kościelny, a nawet sam pan organista raczył przybyć.

Biesiada zakończyła się późno w noc. Wszyscy potrabili się rzetelnie, pijąc za zdrowie pana Jacentego, a pan organista na odchodnym przyrzekł napisać artykuł o waleczności pana Jacentego w „Przewodniku dla organistów“.

Pani Jacentowa, rozmarzona, że o jej mężu będzie „stało“ nawet w gazetach, udała się na błogi spoczynek, skonstatowawszy wprzód, że goście do kumentnie pochłonęli pół świni i wypili do dna całą ćwiartówkę piwa.

Zasypiając, widziała w półśnie „Jacusia“, gdy się podkłada pod wedety nieprzyjacielskie, gdy walczy z przemożnym wrogiem...

A pan Jacenty tymczasem pasł dalej „świnie“. Zjedli panowie oficerowie jedną, kupowano drugą, z czasem nawet jego świńska armia powiększona została do pięciu sztuk. Wówczas otrzymał pomoc, w osobie jednego podwładnego, sam zamianowany odpowiedzialnym komendantem od świń.

Pisał więc o tem zdarzeniu pan Jacenty do połowicy:

„Gwiazdki jeszcze nie mam, lecz władzy mi przybywa. W tych dniach zostałem mianowany komendantem małego oddziału... Oczy wszystkich panów oficerów są na mnie zwrócone, jak wywiąże się z powierzonej czynności“.

— Naturalnie — myślał w duchu — oficerowie zwracają oczy nie tyle na mnie, ile na świnię, robiąc sobie już naprzód smak na szynki i kielbasy. Niech wszyscy dyabli wezmą taki zaszczyt.

Po otrzymaniu listu, Jacentowa znowu urządziła „bibkę“, ażeby oblać awans pocziwego „Jacusia“.

I tak żywot upływał na wojence panu Jacentemu. Raz pasł świnię, innym razem, dla odmiany, barany, cielęta, a nawet krowy i gęsi, zależnie od tego, co w danej okolicy można było dla kuchni oficerskiej zakupić.

Pani Jacentowa miała często okazje do urządzania przyjęć z powodu chwalebnych czynów Jacusia, który ciągle donosił o swem wszechstronnem wojskowym wyszkoleniu.

Gdy pasł „barany“, pisał, że dowodzi oddziałem górskim. Gdy miał „krowy“, donosił, iż jest przy ciężkiej artylerii. Gdy hodował „gęsi“, zawiadamiał o przydzieleniu go do lekkiej kawalerii.

Dziwili się pocziwi mieszkańcy, skąd tyle wojskowych zdolności posiadał pan Jacenty, lecz słusznie mówił ksiądz proboszcz: „iż, w godzinie gniewu, z potulnego baranka budzi się lew!“

A pan Jacenty pasł aż do końca wojny świnię, owce i barany.

— — — — —

Po skończonej wojnie wrócił Jacus z pola chwały, witany owacyjnie przez sąsiadów. Miasteczko urządziło na jego cześć ucztę, w czasie której burmistrz, handlarz nierogaczny, wręczył wzruszonemu Jacusiowi dyplom na honorowego obywatela.

Dziwiono się tylko, że za tyle walecznych czynów nie otrzymał pan Jacenty żadnego odznaczenia. Zagadnięty przez któregoś z zawistnych sąsiadów, odpowiadał wyniośle:

— Nie dla zaszczytów i odznaczeń walczyłem, a tylko dla ojczyzny!

W pożyciu małżeńskim zyskał pan Jacenty przewagę nad swoją magnifiką, która patrzyła z uwielbieniem na Jacusia — rycerza.

Wieczorami, zgromadzonym w domostwie państwa Jacentów — przy piwku sąsiadom opowiadał pan Jacenty z głęboką wiarą o swoich bohaterskich czynach, a tylko kwik nierogaczny w chlewiku przypominał mu, że to nie było prawdą.

Stefan Turski.

Wojenny urząd pana Mateusza.

Pan Mateusz, ubrany odświętnie, w czarnej kaptocie, w popielatych spodniach, kupionych okazjnie po nieboszczyku stolarzu, fabrykancie trumien, biegł żwawo ścieżkami na bliższe drogi do domu. Musiała to być uroczystość nielada, kiedy pan Mateusz ubrał i ślubną pikową kamizelkę, która przez lat dwadzieścia plesniała w skrzyni, a tylko w wielkie święta była w użyciu. Dziś mimo iż nie było żadnego święta pan Mateusz po naradzie ze swoją Basią postanowił ubrać ślubną kamizelkę, a pocziwa Basia, dbająca o staranny wygląd swojego starego, zawiązała mu pod szyją swój jedwabny szalik.

— Bo jak idziesz wezwany „urzędowo“ — mówiła — to żebyś nie wyglądał jak pierwszy lepszy.

Otóż pan Mateusz biegł teraz uradowany, z powrotem z „audyencyi“, biegł rażno, o ile mu na to jego pięćdziesiątka pozwalała.

Basia, dojrawszy go zdaleka, nie mogąc wytrzymać z ciekawości, wybiegła naprzeciw niego.

— Gadażże, stary, po co cie wzywali. — krzychała, będąc jeszcze spory kawał drogi od pana Mateusza.

— Zaraz, zaraz! — odpowiadał pan Mateusz, nakładając nogami i ocierając pot z czoła końcem jedwabnego szalika, zawiązanego w kokardę na szyi.

— No i co? Gadażże prędzej.

— Czekał, niech trochę odsapnę.

— Ale nic złego? — pytała natarczywie Basia.

— Kobieto, szczęście, szczęście! Sto lat mogliśmy żyć, a nie przypuścilibyśmy, iż taki zaszczyt mnie spotka.

— Gadażże prędzej, co takiego?

— A żebyś ty widziała, jak mnie pan „konwisarz“ aligancko przyjął, prosił nawet siadać, sam stołek podawał... Ale nie siadłem ze względu na szacunek dla urzędu.

— No i co? Mówże prędzej, stary. — nalegała natarczywie rozpromieniona Barbara.

— Ho, ho, pożegnany się ze swoją pustelnią, inne życie nas czeka. — ciągnął dalej uradowany Mateusz — Wojny dopiero potrzeba było, aby się człowiek dochrapał czegoś lepszego.

— Ale, bo ty gadasz i gadasz, a ja z tego wszystkiego nic nie rozumiem.

— Wyobraź sobie, stara, zostałem powołany na „urząd“.

— W imię Ojca i Syna, ty, na urząd?

— Tak jest, ja.

— Przecież ty ledwie podpisać się potrafisz, a czytasz tylko „durkowane“.

— Przepraszam cie, bo pisane też znam a i liczby też umie odróżnić. Zresztą na moim urzędzie pisać i czytać umieć nie trzeba, tylko mieć nos, żeby nie dać się okpić.

— Cóż to więc za urząd? — pytała Basia.

— Tego jeszcze nawet pan „konwisarz“ nie wie na pewno. Mówił tylko: Ponieważ macie się zgłosić w „centrali“, będziecie pewnie zamianowany zaprzyjętym rzeczoznawcą. Lecz do czego? Nie mam pojęcia. Macie tu poświadczenie, starajcie się jak najbliższym pociągiem wyjechać. Po zgłoszeniu, tam was już objaśnią o rodzaju waszego zajęcia.

— Co takiego? Ty rzeczoznawcą! — mówiła Barbara, wybaluszyszy oczy na męża, czy przy padkiem nie jest pijany.

— Tak jest, ja! O, tu mam urzędowy dokument, z którym mam się zgłosić w „centrel“ — mówiąc to, wyciągnął urzędowy papier, dając go Barbarze.

Właśnie weszli do izby. Barbara wydobyła ze skrzyni okulary, przetaiła je końcem fartucha, włożyła na koniec nosa, podeszła do okna, oglądając „dokument“ na wszystkie strony.

Po przesylabizowaniu go, rzekła do Mateusza:

— Bój się Boga, stary, kiedy ty chcesz je chać?

— Jutro, rannym pociągiem.

— Ja cię nie puszcze. Dwadzieścia lat żyjemy ze sobą, nigdyśmy się nie rozłączali, a teraz...

— Moja Basiu, teraz wojna! Człowiek nie rozporządza sam sobą, ojczyzna nim rozporządza i musi iść tam, gdzie go przeznaczą — rzekł pan Mateusz sentencyonalnie, zapalając fajkę.

— A kiedy wrócisz?

— Nie wiem. Być może, że wcale nie wrócę, że od razu zostanie na urzędzie.

— Cóż ja tu sama będę robiła?

— Po ciebie napiszę i przyjedziesz.

— A dom? A gdy tu się coś takiego trafi, a nas nie będzie?

— To już nie nasza głowa w tem. Gmina postara się o zastępcę na moje miejsce.

— Ja nie chcę nigdzie jechać — odrzekła Barbara — a tobie radzę, wróć się do pana „komisarza“ i podziękuj mu za posadę.

— Kobieto, zastanów się, co mówisz? Gdybym posady nie przyjął, to „sąd wojenny“ za zdradę mnie czeka.

— Matko Boska, sąd wojenny?! — wykrzyknęła Basia.

— Tak jest! — rzekł pan Mateusz zadowolony, iż powierzono mu tak odpowiedzialne zajęcie, którego niewypelnienie pachnie aż sądem wojennym.

Barbara jednak z niedowierzaniem oglądała dalej urzędowy dokument.

— Słuchajno, stary! — rzekła — Czy to nie jest jaka pomyłka?

— Pomyłka, niby z czem?

— No, z tym twoim „urzędem“, dlaczego akurat ciebie powołują? Przecież w naszym miasteczku jest dosyć ludzi mądrzejszych od ciebie...

— No, no, tylko mi z mądrością drugich nie wyjeżdżaj. Widocznie nie jestem taki głupi, jeżeli mnie zażądali.

— Bo przecież w twoim zawodzie, chyba cię nie potrzebują — mied towała dalej Barbara.

— Naturalnie — rzekł Mateusz — to, co ja robię, każdy potrafi, nie jest to żadna sztuka.

— W głowie mi się to nie może pomieścić, żebyśmy na stare lata tłukli się po świecie — mówiła Barbara. — Jak jest, tak jest, dobrze nam tu było, przeszło dwadzieścia lat żyliśmy spokojnie na jednym miejscu, a tu teraz taki przewrót.

— No, no, stara, nie labidź, nie pójdziemy na gorsze, ino na lepsze. Nareszcie człowiek będzie miał jakieś znaczenie między ludźmi, a gdy zasmakujesz w wielkim mieście, to do tej dziury już nie będziesz chciała wracać.

— Co mi tam po wielkim mieście, gdzie ino dużo złodziei i ladacznic.

— Nie bój się, Basiu — uspokajał zatrwożoną żonę Matensz — ciebie nie ukradną, mnie nie zbala muca, a zawsze co miasto, to miasto.

Po spożyciu obiadu zajęli się wspólnie spakowaniem manatków do drogi Mateuszowi. Barbara szlochała cicho, ocierając łzy ukradkiem.

— Jak ja się z tem wszystkiem zabierę — mruzczał Mateusz.

— Niema innej rady, tylko musisz kupić ręczny kuferek, przecież nie wypada, żebyś z tobołkiem w rękę przyjechał na taki „urząd“.

Zabrali się nad wieczorem, wydobyli ze skrzyni dwie dziesiątki i puścili się do miasteczka po zakupno kufereka.

Po wielkich targach kupili za piątkę „aligancką waliżę“, a że mieli w zwyczaju każdą rzecz nową „oblać“, by się dobrze nosiła, więc wstąpiono do Szmula na chwilę.

Pocziwy Szmul nie mógł się wydziwić szczęściu pana Mateusza, więc też z tej okazji zachęcał do coraz to nowych kolejek.

Oblewanie przeciągnęło się późno w noc, pił kto chciał i nie chciał.

— Niech widzą, co ja znacze. Ja urzędnik z „centrel“ — mówił podochocony Mateusz.

Urzędowy dokument, porządnie już zabrudzony, krążył z rąk do rąk, wszyscy kręcili głowami, nie mogąc się „wydziwić“ i pili na umor o powodzenie pana Mateusza.

Barbara, pod wpływem alkoholu, pogodzona już z nowym stanowiskiem męża, opowiadała sąsiadkom, jak się w wielkim mieście urządza, jakie „aliganckie neble“ sobie sprawią.

Sąsiadki, zazdroszcząc w duszy, mówiły:

— Jak to nie wiadomo, kiedy i gdzie człowieka szczęście spotka!

— Ale bo też i wasz — ciągnęła dobrze już piiana kuma — ma głowę nie od parady. Pamiętam, ile to ludzi się uganiało o jego zajęcie przed dwudziestu rokami, a Mateusz nie dał się ubiedz nikomu. Gdzie trzeba było posmarował, z sekretarzem gminnym popił uczciwie i wszystkich odsadził.

— Dzisiaj dla Mateusza wielki honor — mówiła Barbara — bo bez smarowania go powołują. Sami się nadziwić nie możemy... Pan komisarz ogromnie honorował Mateusza, prosił nawet siadać, sam krzesło mu podawał — opowiadała upojona szczęściem Barbara.

— Nie musi to być bez „ale“ — mówiła kuma.

— Pewnikiem się dowiedzieli — kończyła Barbara — że mój Mateusz nie w ciemie bity, rzetelny, uczciwy...

Dokończenie nastąpi.

